

Grzędziński, January

"Czarno na Białem" (1937-1939) : wspomnienia naczelnego redaktora

Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego 4/1, 239-269

1965

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

JANUARY GRZĘDZIŃSKI

„CZARNO NA BIAŁEM” (1937—1939)

Wspomnienia naczelnego redaktora

„Czarno na Białem” nie było moim debiutem redaktorsko-publicystycznym. Gdy skończyła się pierwsza wojna światowa, przeszedłem do formacji lotnictwa polskiego jako dyplomowany inżynier i pilot. Założyłem czasopismo lotnicze „Lot”, a nawet „Drukarnię lotniczą”. Później wydawałem „Lot Polski”, który miał fantastyczne jak na owe czasy nakłady i przeszedł na własność Ligi Obrony Powietrznej Państwa. W pracy tej opanowałem redakcyjne rzemiosło. Pismo to, jako specjalistyczne, nie miało ani konkurencji, ani utartych dróg, więc trzeba było samodzielnie sobie radzić.

Polskie lotnictwo powstało z niczego: samoloty ze śmietnika starych gratów, a lotnicy z niedobitków obcych armii. Podczas gdy na całym świecie po wojnie doszło ono do rozkwitu, w Polsce nawet poważne pisma nie rozróżniały samolotów od sterowców. Stan istniejący wyznaczał więc poważne zadania pismu, a redaktor musiał czuwać nad każdym współpracownikiem, a najczęściej pisać sam. Gdy czasopismo „Lot Polski” stało się organem Ligi Obrony Powietrznej Państwa, przeszedłem do innych zajęć. Byłem w wojsku i w latach 1933—1937 dowodziłem pułkiem w Warszawie na Cytadeli. Pisywałem w tym czasie wprawdzie eseje i artykuły o szerokiej rozpiętości tematów — od Ludendorffa do Paula Valéry'ego i od rumuńskiej architektury ludowej do Frontu Ludowego we Francji — rozsiane w polskiej prasie, ale od zajęć redakcyjnych odszedłem. Okazało się, że nie na zawsze. Następnym etapem to praca w piśmie „Czarno na Białem”.

Pismo powstaje jako organ legionowej opozycji. Grupa ta zresztą nie miała organizacyjnych kształtów, gdyż próby jej zalegalizowania spotkały się ze sprzeciwem władz: poprzednio premiera Walerego Ślawnika, później premiera i ministra Spraw Wewnętrznych generała Felicjana Sławoja Składkowskiego. Natomiast znajdowała zwolenników w przeważającej ilości legionowych skupień. W niewielkim gronie osób, w miesz-

kaniu inż. płk. Mieczysława Maka-Piątkowskiego na Żoliborzu, do niedawna komendanta ochrony Belwederu, a w tym czasie na emeryturze i na posiadzie w naftowym koncernie „Małopolska”, zapadła decyzja powołania do życia tygodnika „Czarno na Białem”. Tytuł ten zainicjował Andrzej Strug, a graficznie go rozwiązał Maciej Nowicki, jeden z późniejszych laureatów konkursu na gmach Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku. Redakcję powierzono mnie z racji posiadanych kwalifikacji i doświadczeń w pracy redakcyjnej. Musiałem jednak przełamać pewne wewnętrzne opory. Przepisy wojskowe obowiązywały do posiadania zgody odpowiednich władz na każdy artykuł prasowy, a tym bardziej na ciągłą działalność publicystyczną. Zabieganie o nią było zupełnie bezcelowe, ponieważ w otoczeniu marszałka Rydza-Śmigłego znane było moje opozycyjne stanowisko. Trzeba było więc znaleźć się *ex lex* i działać za dobrze wybranym parawanem. Możliwe to było, ale ryzykowne. Było oczywiste, że w razie ujawnienia tej sytuacji zostaną potraktowany nie tylko jako winny wykroczenia przeciw formalnym zarządzeniom władz, ale i za opozycyjno-ideową stronę akcji. Moje przedwojenne i wojenne doświadczenia konspiratorstwa już bardzo zblakły, a zawsze były skierowane przeciw obcym, nigdy zaś przy jednoczesnym sprawowaniu wysokiej bądź co bądź funkcji dowódcy pułku w stolicy.

Toteż tylko *volens nolens* przyjąłem propozycję Maka-Piątkowskiego z braku odpowiedniego kandydata. Chronić mnie miał, jako zgłoszony i odpowiedzialny redaktor, Leonard Życki-Malachowski, oficer rezerwy mego pułku, z którym dogadaliśmy się na ćwiczeniach.

Niedobrze było również pod względem organizacyjnym i administracyjnym. Uznaliśmy z Makiem-Piątkowskim, że suma 2 tys. złotych polskich, którą obaj rozporządzaliśmy, powinna nam wystarczyć. *Sancta simplicitas!* Odpowiadało to obecnym dwudziestu tysiącom z nadwyżką, a w relacji ówczesnych cen mogło starczyć na trzy rachunki za druk! Dowiedziałem się później, że pismo Związku Nauczycielstwa Polskiego dostało na „rozruch” 15 razy więcej i jeszcze z tym nie dawało sobie rady.

Byliśmy z Makiem-Piątkowskim optymistami. Wiedząc, że mamy wśród legionistów parę tysięcy potencjalnych czytelników, byliśmy przekonani, że już czwarty numer z kolei opłacimy ze sprzedaży: „jakoś tam b!” Skoro wydając „Lot” nie miałem znikąd pomocy, to i tu sobie poradzimy...

Tymczasem rzeczywistość, nam nie znana, wyglądała inaczej. Słusznie uważaliśmy, że dla pisma „rozruch” ma zasadnicze znaczenie. Jest to okres zetknięcia się z przypuszczalnym czytelnikiem. Należy go planować jako wysiłek propagandowy, tj. wydatek bezzwrotny. Jeżeli uda się pismo, to ten wydatek zamortyzuje się w ciągu dłuższego okresu normalnego już wychodzenia. Tak go należy preliminować: na stratę.

My jednak nie preeliminowaliśmy na stratę, lecz sądziliśmy, że dzięki naszemu zapleczu w lewicy legionowej trzy numery będą rozchwytywane i należy je drukować w dużym nakładzie, aby przyniosły gotówkę, która będzie kapitałem obrotowym pisma. Podtrzymywał nas w tym przekonaniu dr Henryk Kołodziejski, dyrektor biblioteki sejmowej i wielki przyjaciel Andrzeja Struga, który mówił: „Nie wychodźcie poza ramy legionistów, a wówczas cenzura da wam spokój i legioniści zapewnią wam środki do akcji”.

Niezadługo się okazało, że wszechwiedzący pan Henryk, spowiednik i doradca wszystkich utrapionych i stroskanych polityków owego czasu, był w błędzie i nas w błąd wprowadził. Stwierdziliśmy to na naszej skórze już po dwóch miesiącach.

Administrator i techniczny redaktor pisma, zalecany przez Maka-Piątkowskiego poeta Remigiusz Kwiatkowski jako wyrobiony pracownik z redakcji „Polski Zbrojnej”, nam się nie udał. „Polska Zbrojna”, redagowana przez niego, przyciągała różne pióra z bardzo różnych kałamarzy, ale była mimo woli jakimś pasem różnorodnych nurtów i różnorodnych powiązań. Właśnie w charakterystycznych w tej epoce „no man’s landach” dwójki wszelakie mogły uprawiać łatwe wędkarstwo. Słowem, szybko w ten sposób rozniosły się te wiadomości, które, zdawało się nam, potrafimy ukryć. Szybko się dowiedziano, że jestem w samym sercu tego podejrzanego dla władz pisma. Miało to wkrótce zaciążyć na jego losach.

Ale nawet uczciwe pismo nie może żyć tylko z czytelnika — musi mieć ogłoszenia albo jakieś subwencje. Za granicą dlatego utrzymują się w nawale zadrukowanego papieru te właśnie pisma, które mają mocne oparcie w koncernach, trustach, bankach i innych dyspozytorach i animatorach życia kapitalistycznego. U nas takim zapleczem był Lewiatan (dla „Kuriera Polskiego”), był Bank Handlowy, był Bank Gospodarstwa Krajowego. Mimo że „Merkuriusz Polski Ordynaryjny” panów W. Zambrzyckiego i J. Babińskiego, ordynaryjnie szperający w kularach wszelkich dwójek, żonglował moim nazwiskiem z nazwiskiem pana A. Faltera z Banku Handlowego, byłoby nawet śmieszne z mej strony szukać u niego kredytów, natomiast generał Górecki otwierał zasoby Banku Gospodarstwa Krajowego trustowi prasowemu Bogusława Miedzińskiego.

Pozostawały możliwości ogłoszeniowe.

Jeszcze jedna nasunęła mi się refleksja: szukanie niezależności od kapitału lub innych możliwych tego świata przez opieranie się na ogłoszeniach było także złudą, gdyż już od połowy XIX wieku istniały agencje ogłoszeniowe, na przykład Havas, które po prostu brały w pacht ogłoszenia w danym piśmie, wypompując z niego za to lichwiarskie opłaty, a przy tym uzależniając je od siebie. Chcąc utrzymać to ważne źródło dochodu, pismo musiało się liczyć z życzeniami

agencji, a często musiało umieszczać płatne przez agencję artykuły merytoryczne, a nawet prowadzić płatną kampanię propagandową. Osobiście, w początku 1939 r., kiedy „Czarno na Białym” stało się najpopularniejszym tygodnikiem w Polsce, wychodzącym w największym nakładzie, spotkałem się z propozycją pewnego agenta obcych radiodbiorników, bym zechciał w moim artykule wstępnym wymierzonym przeciw Hitlerowi zgodzić się tylko wstawić: „słyszałem mowę Hitlera przez mój odbiornik (tu nazwa marki fabrycznej odbiornika), który zawsze mi służy bez zarzutu”. Za tę wstawkę agent gotów był pokryć rachunek drukarni za cały numer! Naturalnie odmówiłem i administracja, acz z przykrością, zrzekła się tego przychodu.

Ta analiza warunków, w jakie wchodziliśmy z naszym pismem, wypadła pesymistycznie. Do tych wszystkich „kapitalistycznych” trudności dochodziła specyficznie nasza własna: cenzura tak ograniczała to, co bym po wojskowemu nazwał swobodą manewru, że o lansowaniu jakiejś kampanii prasowej nie można było marzyć, bo musiałaby u nas mieć posmak antyrządowy, więc nożyce cenzora przecięłyby ją z miejsca! Leżał już na cmentarzysku prasy cały szereg ofiar cenzury. Leżały pisma skrajnie i nieskrajnie lewicowe: „Przekrój Tygodnia”, „Lewar”, „Lewy Tor”, „Poprostu”, „Oblicze Dnia” po kilku lub kilkunastu tygodniach istnienia, leżał Norberta Barlickiego „Dziennik Popularny”, który istotnie błyskawicznie zdobył sobie popularność, a także i metrykę zgonu.

Norbert Barlicki, którego znałem już od dawna, a spotykałem czasem u Struga i odwiedziłem w mieszkaniu na Nowowiejskiej, długo mnie uświadamiał. Zamknięto mu „Dziennik” z powodu ataku na OZN, którego deklarację — odczytaną dwa tygodnie przed zamknięciem „Dziennika” i jego trzech redakcyjnych pracowników — „Dziennik” wziął pod obrztał. Ujawniono zarzut współpracy z komunistami i wydawaniu za ich pieniądze. To ostatnie oskarżenie obaliło zbadanie księgowości, gdyż „Dziennik” był pismem samowystarczalnym, a nawet dochodowym. Ale istotnie ktoś, kto podpisywał swe artykuły Kłos lub Sierpiński, był to Abraham Kagan — kierownik prasy i propagandy Komunistycznej Partii Polski. Artykuły jego pod koniec istnienia „Dziennika” ukazywały się coraz częściej. Barlicki radził mi jak najdalej posuniętą ostrożność, jeśli chodzi o ujawnianie nazwisk pisarzy komunistycznych. Widocznie dla tego samego powodu dr Henryk Kołodziejski radził nie wychylać się poza sprawy środowiska legionowego. Dobra rada! Przecież środowisko legionowe żyło sprawami całej Polski, a przy tym było właśnie na celu wszystkich działań OZN, dla którego utrzymanie legionistów przy sobie było zagadnieniem numer 1, i broniąc je właśnie przed „ozonizacją” trafialiśmy pod reflektor cenzury jak najbardziej!

Wszystkie nasze rozumowania, mimo że były logiczne, zawiodły na całej linii. W reżymach, w których panuje dowolność w postępowaniu władz, na nic się zdają logiczne rozumowania. Przekonaliśmy się od razu na numerze pierwszym. Władze doskonale zorientowane w naszej sytuacji i naszych „piętach Achilleśa”, w chwili gdy nasz numer pierwszy już był na maszynie drukarskiej wypolerowany i wypieszczony, gdy nasze czoła pochylały się nad nim jak nad własnym nowo narodzonym dzieckiem, w gabinecie Komisariatu Rządu na miasto stołeczne Warszawę odbyła się narada, na której zapadła uchwała: „Zlikwidować! »Czarno na Białem« wychodzić nie będzie!” Nie było rewencyjnej cenzury w tym czasie i w kołach dziennikarskich uważano to za nieco anachroniczny jak na czasy sanacji liberalizm, ale w każdym razie liberalizm. Nad cenzurą po wyjściu numeru jest bądź co bądź sąd Rzeczypospolitej, którego wyrok zatwierdza albo uchyla zajęcie. W ówczesnym systemie cenzury rewencyjnej cenzor był alfą i omegą, zażalenia być nie mogło. Za to w tak ocenzurowanym numerze zostają białe plamy po zdjętych tekstach. Te białe plamy rozprzestrzeniały się jak trąd, zaczynało się od jednej, potem były dwie, trzy, cztery, uznano to za kompromitujące dla reżymu wobec publiczności polskiej i zagranicy i po pewnym czasie stosowania cenzury rewencyjnej, o czym będzie dalej mowa, wydano zakaz pozostawiania wolnych miejsc. Redakcja musiała tam wstawiać na poczekaniu zastępcze teksty i spadało to często na tak zwanego technicznego redaktora, który pełnił służbę swą w drukarni. Ale i do tych tekstów cenzura się mieszała. Wprowadziłem na przykład na wolne miejsca haselko rozstawionymi literami „»Czarno na Białem« pisze, co może”. To haselko utrzymywało się u nas ze trzy kwartały. Każdy czytelnik rozumiał, że na tym miejscu było przedtem to, czego „Czarno na Białem” napisać nie mogło! Po tym czasie cenzura przestała patrzeć obojętnie na to hasło i kazała wstawiać zamiast tego inne teksty — sztuka polegała na tym, by w tych tekstach jakimś określonym sposobem przemycić skonfiskowaną myśl. To nie było łatwe. Raz udało mi się jednak doskonale. Był to numer poświęcony brutalnej policyjnej „pacyfikacji wsi” w sierpniu—wrześniu 1937 roku. Cenzura wszelkie informacje o okrucieństwach represji konfiskowała. Artykuły piętnujące sanacyjnych oprawców były bez żadnych względów likwidowane. Wówczas w środek tekstu włożyłem cytate ostro potępiającą bezceństwa żołdaków, podpisaną „Hrabia de Chamfort”. Chamfort nie był hrabią, a w jego francuskich *Maksymach* takiej myśli nie było, choć Chamfort był niewątpliwie humanistą i zdecydowanym wrogiem terroru. Nawet odebrał sobie życie, aby uniknąć terroru. Tym razem przed nim cofnął się terror cenzora. Nie zadał sobie trudu sprawdzenia i hrabiemu złożył ukłon. Z całego wybielonego artykułu została tylko pseudocytata pseudohrabiego.

Wybiegłem jednak naprzód i wracam do pierwszego numeru, który nie korzystał jeszcze z cenzury przewencyjnej i został skonfiskowany w całości! Było to uderzenie obuchem: biliśmy tego numeru 10 tysięcy, ponieważ miał służyć do propagandy pisma i wypróbować jego odbiór. Cały nakład był zabrany z drukarni! Był to dzień 23 czerwca 1937 roku, w wigilię nocy świętojańskiej i święta sobótek. Przez ognisko nie przeskoczyliśmy, spłonął cały numer pierwszy. Nic nie pomogły pertraktacje, odpowiadano nam: „Sąd zadecyduje”, ale kiedy to nastąpi, cenzor nie mógł nam powiedzieć.

Cenzor zgodził się podać jakieś ustępy inkryminowane. Zdjęliśmy te ustępy i wydaliśmy „drugi nakład po konfiskacie” — już tylko w 5 tysiącach egzemplarzy, bo sakiewka bardzo nam schudła. Drugi nakład spotkał ten sam los: zostaje skonfiskowany! Perfidia cenzury była dla nas czymś nieoczekiwanym. Nowe pertraktacje z cenzorem i nowe wyjaśnienie: nakład został skonfiskowany za inne ustępy tekstu, gdyż cenzor pierwszy nakład wycofał na podstawie podanych nam poprzednio ustępów i reszty numeru rzekomo nawet już nie czytał, a przeczytawszy tę resztę w drugim nakładzie, zakwalifikował go do konfiskaty! Po długich naradach między sobą zdecydowaliśmy bić trzeci nakład, a gdy i ten został wycofany, przystąpiliśmy do numeru drugiego. Numer drugi uległ również konfiskacie. Tym razem dostaliśmy pismo tej treści:

Komisariat Rządu
na m. st. Warszawę
Nr Sw. 1—2/506/37

Warszawa, dn. 5 lipca 1937
ul. Senatorska nr 16

Do Pana Redaktora L. Życkiego-Małachowskiego
w/m., ul. Wspólna 37 m. 10.

Upatrując w art. pt. *Burza nad Wawelem* oraz *Związek Młodej Polski*, zamieszczonych w czasopiśmie „Czarno na Białem” z dn. 4 VII 1937 r., nr 2, cechy przestępstwa przewidzianego w art. 170 K.K., na zasadzie art. 27 dekretu z dn. 7 II 1919 r. w przedmiocie tymczasowych przepisów prasowych (Dz. Pr. 1919 r. nr 14 poz. 186) obłożyłem aresztem w dniu 2 VII 1937 r. wyżej wymienione czasopismo, przy równoczesnym skierowaniu sprawy do Pana Prokuratora Sądu Okręgowego w Warszawie.

Za Komisarza Rządu
(—) Wł. Zambrzycki

Kierownik Oddziału Prasowo-Widowiskowego.

Podpisany kierownik (znany dziś autor *Naszej Panny Radosnej* i *Kwarty bożych pomyśleńców* Władysław Zambrzycki), wówczas był współwłaścicielem i współredaktorem rewolwerowego faszystowskiego tygodnika „Merkuriusz Polski Ordynaryjny”. W tych „ordynaryjnych” czasach taki kompleks sprawności był możliwy.

Czytelnik nie zdaje sobie może sprawy, jaki to poczwórne uderzenie Komisariatu Rządu spowodowało dramat: hipoteza dr. Kołodziejskiego,

że w ramach legionowych będzie można pismo utrzymać, rozwiała się i rozwiała się nadzieja, że po trzech numerach staniemy na nogi: żaden numer nie ujrzał czytelnika, a już leżeliśmy na obie łopatki.

Gorączkowo dysputowaliśmy nad dalszą akcją, a fakt, że jako dowódca stołecznego pułku miałem w tym czasie wobec wizyty rumuńskiego króla Karola masę reprezentacyjnych ceremonii do wykonywania, dorzucał nowe kłopoty. Decyzje musiały być błyskawiczne: jeżeli pismo miało być utrzymane, trzeba było dalsze numery wydawać w terminie, nie opuszczając ani jednego tygodnia. Drukarnia odmawiała nam kredytu. Wyskrobaliśmy w naszych szufladach z Makiem-Piątkowskim jeszcze trochę ponad tysiąc złotych (byłem w tym czasie powtórnym kawalerem, więc mogłem skurczyć poważnie moje rozchody osobiste), przeszliśmy do innej drukarni i wydaliśmy numer, który już ujrzał świat. Ale z planowanego 10-tysięcznego nakładu zeszlśmy na 500 sztuk. Redaktorowi Życkiemu cenzor się zwierzył, że przy takich nakładach nam pofolguje. Jasne: chodziło o zawężenie naszych wpływów z pozostawieniem pozorów swobodnego istnienia.

Fakt naszego istnienia, w okresie gdy numery nasze nie wychodziły do kiosków, przeniknął jednak do wiadomości publicznej dzięki naszemu wrogowi „Merkuriuszowi”, który, mając najlepsze wiadomości od samego nadcenzora Władysława Zambrzyckiego, podpisującego się w „Merkuriuszu” małymi literkami „w.z.”, rozgłosił tę sensację, wiążąc ją z lewicą legionową, z pułkownikiem Grzędzińskim, z masonerią, z wszelką najgorszą „kramołą”.

Zaalarmowało to reakcję, ale także spowodowało zainteresowanie nami w szerokich kołach opozycji demokratycznej oraz wśród legionistów: zaczęto składać się na nasz fundusz prasowy — kwitowaliśmy te ofiary w samym piśmie. Psychologicznie był to kontakt z nieznanym czytelnikiem, który otwierał nam kredyt moralny: duża pociecha w tej niefortunnej przygodzie.

To, co piszę, może być słusznie uznane za samokrytykę — przyznaję się do błędów planu i lekkomyślnego lansowania się w nieznane. Był to jednak tylko początek batów, których nam niezczędzono. Sanacja uruchomiła przeciw „Czarno na Białem” niejedną baterię. Generałem od tej prasowej artylerii był Bogusław Miedziński. Od czasu gdy opuścił stanowisko ministra Poczty i Telegrafów po skandalu z Ruszczewskim, zajął się szczególnie prasą: urzędowym organem obozu „Gazeta Polska”, koncernem tak zwanych „czerwoniaków”, oraz organizacją dystrybucji prasowej na wzór francuskiej „Messagerie Hachette”, tak zwanemu przedsiębiorstwu „Ruch”, które uzyskało monopolistyczną koncesję od rządu na przewóz prasy na kolejach i sprzedawało ją w kioskach w całej Polsce. Przez gardło „Ruchu” przechodziło każde pismo — zaciskając to

gardło, Miedziński kładł dowolnie każde pismo i każde zmuszał do uległości. Wyzyskując swój monopol, „Ruch” dyktował warunki prasie, a jej wyzysk doprowadził do perfekcji. „Ruch” potrafił nie tylko słono sobie potrącać stawki od sprzedanych egzemplarzy, ale także kazał sobie płacić za zwroty tych, których nie sprzedał, czyli nawet nie sprzedając zarabiał. Od niego też tylko zależało załadować paki pisma na prowincję na właściwy pociąg lub się spóźnić z załadunkiem i wysłać z dowolnym opóźnieniem, jeśli chciał pismo „położyć” — przecież gazeta, która przyjdzie o dzień później, idzie na makulaturę, a tygodnik spóźniony przeważnie też idzie na zwroty, bo tymczasem czytelnik, nie znajdując go w kiosku, kupuje jakiś inny. Walka z „Ruchem” była nie do pomyślenia, a skoro dyrekcja tego przedsiębiorstwa znajdowała się w ręku partyjnym, należało się spodziewać wszelkich nielojalności z jej strony. I rzeczywiście: „Ruch” odrzucił naszą prośbę, by zajął się kolportażem „Czarno na Białem!” Znałem osobiście Miedzińskiego, ale nie próbowałem się z nim dogadać — byliśmy przecież przeciwnikami. Rozmawiał z nim redaktor Julian Maliniak, który wszedł do „Czarno na Białem” dopiero w październiku 1937, ale na próżno. Trzeba było ograniczyć się do kilku „niezależnych” kiosków w Warszawie i szukać kolporterów w miastach prowincjonalnych, poza tym sprzedawać przez ideowych kolporterów. Ogromnie mi pomogli w tym omturowcy i czerwoni harcerze.

Ale czy w takich warunkach można było płacić honoraria autorskie? Z całą pewnością nie. Dlatego połowę numeru wypełniałem sam, a drugą Zdzisław Maćkowski, Teofil Wojęński, Bolesław Pawłowicz, Halina Kraheńska i Jan Nepomucen Miller, późniejszy marszałek sejmu PRL Władysław Kowalski, którzy zrzekli się honorarium.

Radość tworzenia prysła w zetknięciu z reżymem, tworzyć można było tylko z zaciśniętymi zębami. Żyliśmy od numeru do numeru pod grozą zamknięcia, a w każdym niemal numerze urozmaiconym białymi plamami widniał nadpis: „nakład po konfiskacie” lub gęste tłumaczenie się redakcji z opóźnienia pisma „ze względów od niej niezależnych”. Trwaliśmy z desperackim uporem, ale najdziwniejsze było to, że bez propagandy. W tych warunkach wyciągały się do nas ręce z pomocą! Zbierano fundusze, aby pismo mogło się ukazywać. Miałem któregoś dnia wizytę samego powinowatego Konstantego Giedroycia. Mimo że dość sceptycznie osądzał moje wysiłki, odnosił się do mnie życzliwie i przeprowadził z sobą młodą matematyczkę, jeszcze na studiach, Hanę Szmuszkiewiczównę. Giedroycia bardziej od jej matematyki obchodziło to, że grała ładnie na fortepianie, a ją znowu to, że „Czarno na Białem” przypadło jej do gustu. Kupowała każdy numer i ubolewała nad każdym białym miejscem w piśmie. Powiedziała mi, że pismo moje jest czytane w kołach profesorskich i że te koła gotowe są mi przyjść z finan-

sową pomocą, byleby pismo nie przestało wychodzić. Dostała ode mnie błogosławieństwo na kwestę wśród profesorów i wywiązywała się wspólnie. Czasem wzywała mnie do pomocy i towarzyszyłem jej tam, gdzie trzeba było szerzej się „wygadać”. Wśród pierwszych, którzy złożyli się na „Czarno na Białem”, był prof. Tadeusz Kotarbiński, prof. Stanisław Ossowski, prof. Mieczysław Michałowicz, prof. Aleksander Rajchman i inni.

Z zacytowanego przeze mnie pisma Komisariatu Rządu na m. st. Warszawę o konfiskacie nr 2 widać, że cenzura przecinała mi dwa publicystyczne wątki. Jeden dotyczył tak zwanej sprawy wawelskiej (*Burza nad Wawelem*), a drugi — akcji Obozu Zjednoczenia Narodowego wśród młodzieży (*Związek Młodej Polski*).

Mówiłem, że prasa, zdaniem moim, nie tylko powinna metodycznie i nieprzerwanie drażnić opinię publiczną, ale też umieć wyzyskiwać każdą sposobność do katalizowania tej opinii kampaniami prasowymi na dłuższą metę.

In hoc signo zacząłem od pierwszego numeru. Właśnie w końcu czerwca 1937 roku metropolita krakowski, ks. biskup Sapieha, przeniósł samowolnie z krypty Św. Leonarda w katedrze na Wawelu zwłoki Józefa Piłsudskiego do Wieży Srebrnych Dzwonów. Wejście do wieży jest poza katedrą i ksiączę biskup, który zgodnie z konkordatem roku 1925 był pełnoprawnym gospodarzem katedry, wyjaśnił, że nie życzy sobie, by ludzie niewierzący dla składania hołdu zmarłemu wchodzili do katedry. Oczywiście tłumaczenia nieudolne, bo katedry, jak wawelska, są odwiedzane przez turystów najrozmaitszych wyznań i poglądów. Mówiono, że chodziło biskupowi o to, by obecny z wizytą w Warszawie król rumuński nie był przyjmowany przy grobie Piłsudskiego w katedrze, ponieważ był wyznania greckiego. Ale przecież w katedrze Św. Jana w Warszawie koronowano prawosławnych cesarzy rosyjskich na królów polskich. Argumentacja nie dopisywała, argumentacja była fałszywa, Mniejsza o argumentację. Ważne, że narodowy panteon stał się folwarkiem kościelnej oligarchii, fakt, że Sapieha, który sam bez sprzeciwu w maju 1935 roku chował w tej katedrze zwłoki marszałka, w czerwcu 1937 roku miał już śmiałość zwłoki jego usunąć.

Środowisko legionowe oczywiście żywo zareagowało, a młody aż do śmierci Waclaw Sieroszewski, prezes Akademii Literatury, żądał sankcji przeciw Sapiezie. Podniosło się larum i rozpoczęły manifestacje, prezydent Rzeczypospolitej karcił metropolitę, a premier generał Sławoj Składkowski... podał się do dymisji! Była to głupia bufonada uwidoczniająca raczej fakt, że Sławoj nie chce interweniować przeciw biskupowi. „Czarno na Białem” w podjętej kampanii nie tylko godziło w samowolę magnata na

Wawelu, ale w rząd i odsłaniało jego fałszywą grę. Szef Obozu Zjednoczenia Narodowego Adam Koc i jego mocodawca Rydz-Śmigły szukali dla swej akcji oparcia o duchowieństwo i oni, a nie Sapieha, znaleźli się w potrzasku. Z tego potrzasku wyciągał ich Beck, rokując wprost z Watykanem i stukając do wrót prymasa Hlonda. Nasza kampania godziła więc w piętę Achillesa i zapowiadała się interesująco i pomyślnie: Komisariat Rządu zdusił ją w zarodku, broniąc jednym strzałem przed nami i księdza biskupa! Zrobiło się „cicho nad tą trumną” jak po zabójstwie prezydenta Narutowicza. Król Karol złożył wieniec już w Wieży Srebrnych Dzwonów, a zwłoki marszałka dotąd tam spoczywają. Była to pierwsza wielka porażka Rydza-Śmigłego i jego obozu zadana od prawej strony.

Druga nasza kampania, przerwana przez cenzurę, była wymierzona przeciw ideologii OZN, której jaskrawym wyrazem stał się Związek Młodej Polski, jego sektor młodych. Niezadowolony z Legionu Młodych, który wyemancypował się spod komendy sanacji, nie mogąc dojść z nim do porozumienia, Adam Koc postanowił z nim zerwać rokowania, obciąć mu subwencje i założyć coś nowego łącznie z młodoendekami pod kierunkiem falangisty Jerzego Rutkowskiego, redaktora „Małego Dziennika”, pisma katolickiego. Myślą przewodnią organizacji było powiązać ONR z sanacją, a w tym celu z Piłsudskiego i Dmowskiego Rutkowski robił dwóch braci syjamskich.

Początek tej młodzieżowej akcji pod hasłem „w prawo zwrot” dał sam marszałek Rydz-Śmigły wizytą w korporacji „Arkonii”. Z platformy legionowej należało uderzyć właśnie w tę perfidną fuzję Jerzego Rutkowskiego, by przez demaskatorską kampanię sparaliżować zamach Obozu na legionistów. Czyniłem to i wewnątrz Związku Legionistów, do którego należałem, bo było to dozwolone wojskowym w służbie czynnej, i ruszyłem także do ataku na Związek Młodej Polski w „Czarno na Białem”. Atak był dobrze wymierzony i na legionistów działał skutecznie. Zyskałiśmy także przez to wiele nowych piór, jak Antoni Wieczorkiewicz, J. Czarnocki, współpracowników pism Związku Nauczycielstwa Polskiego: kojarzył się wspólny front wokoło naszego pisma.

Komisariat Rządu i tu reagował konfiskatą, ale całkowicie przerwać naszej akcji mu się nie udało: tę doprowadziliśmy do końca; w ciągu kilku miesięcy Obóz się cofnął, z akcji swej zrezygnował. Zanim to jednak nastąpiło, wypadło nam jeszcze rozegrać z OZN niejedną batalię.

Następną z kolei, natychmiast po sprawie wawelskiej, była rozgrywka na XIV Zjeździe Legionistów, 6 czerwca, w Krakowie. Na tym zjeździe Rydz miał opanować opozycyjne nastroje w Związku Legionistów; ponieważ żadne obrady nie zostały zaplanowane, program został ułożony pod znakiem uroczystości: defilady, przemówień, wieńców, oklasków, okrzy-

ków „niech żyje”. Reżyserowano scenariusz zgody: wszyscy za Rydzem, Rydz za wszystkich!

Komendantem głównym Związku (tytuł był też innowacją) od maja 1937 r. był ten sam Adam Koc, który był szefem Obozu: unia personalna jednak nie wystarczała.

Pod kątem zjazdu ułożony był numer 8 „Czarno na Białem”. Drzałem, by nie został skonfiskowany. W Warszawie to go ominęło, ale — perfidia nie zna granic — wojewoda krakowski Gnoiński dostał rozkaz uchronienia przed nim legionistów na zjeździe. Gdy płk. Mak-Piątkowski zawiózł tam zwiększony znowu nakład numeru, został on skonfiskowany w Krakowie. Ten sam los spotkał też miejscową ulotkę naszej grupy legionowej, w której była mowa o kompromitacji wawelskiej i o zakusach OZN-u na legionistów; skonfiskowano również list otwarty generała Bolesława Roji, b. dowódcy czwartaków.

Kluczowymi artykułami naszego numeru były: artykuł wstępny *Legioniści*, artykuł Maka-Piątkowskiego *Legiony a endecja* i podpisany przeze mnie imieniem i nazwiskiem artykuł *Dwa obozy w Polsce*. Ponieważ prasa ONR-owska i młodoobozowa ukuły przeciw opozycji z lewa przezwisko „folksfrontu”, artykuł ten — polemizujący nie tylko ze Związkiem Młodej Polski, ale imiennie z jego patronem Adamem Kocem, który nawoływał do skryształizowania się i zgrupowania sił twórczych narodowo-państwowych, po drugiej stronie barykady mających obóz „folksfrontu” — kończę klamrą, że już Piłsudski przewidział powstanie dwóch obozów w Polsce, które staną oko w oko przeciw sobie, gdy pisał: „»Dwa będą tylko obozy [w Polsce]: jeden polskich robotników — drugi polskich posiadaczy«. Z tych właśnie dwóch obozów p. Adam Koc wyrzuca najwidoczniej ten pierwszy za »barykadę folksfrontu«, a drugi... Czy jednak po ten drugi może wyciągnąć rękę żołnierz Piłsudskiego?”

Znowu reakcją na to była represja, a nawet prowokacja: w Świdrach Małych zgotowano bombowy zamach na willę Adama Koca, by go przypisać lewicy legionowej. Bomba zabiła tylko samego zamachowca, najemnego bezrobotnego, a cała intryga rozleciała się i śledztwo, i prasa umilkły na ten temat. Popularność Koca bynajmniej nie wzrosła.

Nastroje na zjeździe okazały się opozycyjne w stosunku do jego organizatorów. Już od rana internowano generała Roję, by nie mógł zabrać głosu i przetrzymano go w szpitalu wojskowym przez dwa tygodnie, tj. jeszcze przez cały czas strajku chłopskiego. Nie dopuszczono do przemówień pod kopcem na Sowińcu, gdzie Emil Bobrowski i Jędrzej Moraczewski mieli odpowiedzieć na mowę Rydza-Śmigłego w tak zwanych Oleandrach. Rozwiązano zjazd przed terminem, pociągi bezpłatne wywiozły legionistów z Krakowa już wczesnym popołudniem. Rydz nie przybył na wspólny obiad żołnierski i wyjechał... bez pożegnania. W po-

rażce Rydza zorientowała się prasa, z wyjątkiem może Regnisa-Singera, który ogłosił w żydowskim „Naszym Przeglądzie” *Zwycięstwo Ozonu w Krakowie*. Natomiast brukowce wzmogły ataki imienne na opozycję, delatorzy prasowi podawali do wiadomości, że właściwym redaktorem „Czarno na Białem” jest oficer służby czynnej i dowódca pułku w samej Warszawie płk. January Grzędziński, że wymieniony jest szwagrem Andrzeja Struga, wielkiego mistrza masonerii, że więc... sprawa jest groźna, ma rozgałęzione kulisy itd.

Tymczasem w tydzień po zjeździe wybuchł 10-dniowy chłopski strajk demonstracyjny, w czasie którego nasze pismo zajmuje stanowisko po stronie strajkujących. Pismo było już rozbitywane. Najwidoczniej uważano „w sferach”, że metody Miedzińskiego nie dały pożądanych wyników, więc trzeba zastosować inne. Nie darmo widać miał powiedzieć Napoleon, że 4 pisma warte są więcej niż 100 000 żołnierzy! Rydz-Śmigły, dopingowany przez ONR-owską prasę, postanawia zlikwidować redaktora pisma. Zostałem postawiony pod sąd Dowództwa Korpusu Nr 1 w Warszawie za „publikowanie artykułów bez zgody przełożonych”. Sprawa murowana: istotnie jeden z artykułów przedjazdowych celowo podpisałem swoim nazwiskiem. Byłaby to jednak tylko sprawa dyscyplinarna. Sąd natomiast rozpatrywał treść artykułu *Dwa obozy w Polsce* i uznał, że ten artykuł jest wymierzony w linię polityczną samego marszałka Rydza, z którego rozkazu napisał swój artykuł Adam Koc. Zostałem uznany winnym, a sam marszałek Rydz-Śmigły wyznaczył mi karę. Był więc to jeden z wypadków typowych dla wymiaru sprawiedliwości tych ponurych czasów, kiedy strona (bo przecież stroną rzekomo poszkodowaną przeze mnie był Rydz-Śmigły) była równocześnie arbitrem... W notatce służbowej umieszczono: „Pułkownik Grzędziński został skazany dnia 16 września 1937 r. na 28 dni aresztu domowego za napisanie w nr 8 »Czarno na Białem« artykułu bez zezwolenia, pt. *Dwa obozy w Polsce*”. Rydz-Śmigły użył najwyższej kary dla oficera rangi w jego puli, oceniał więc wysoko moją akcję.

Na tym się nie skończyło. Musiałem opuścić mój warszawski pułk i przenieść się do Przemyśla. Był to „awans”: objąłem stanowisko z etatem generalskim, i to w dodatku lotnicze... Czy można się skarżyć?

Tymczasem prowadziliśmy już dwie nowe kampanie: w sprawie strajku chłopskiego i w sprawie organizacji frontu demokratycznego opozycji.

Strajk chłopski nie był zaskoczeniem dla nikogo, bo był uchwalony już w styczniu 1937 roku na kongresie Stronnictwa Ludowego pod hasłem politycznym amnestii dla byłych więźniów brzeskich, zmiany ordynacji wyborczej na demokratyczną, rozwiązania izb parlamentu, nowych wyborów i zmiany polityki zagranicznej. Ten okres nie był widocznie wyzyskany na przygotowania ani przez Stronnictwo, ani przez rząd, gdyż

wypadki miały przebieg dość niespodziewany. Rząd próbował zawczasu rozbić Stronnictwo Ludowe, ale bez powodzenia, a w chwili wybuchu strajku premier znajdował się za granicą i na miejscu improwizował minister Paciorkowski. Strajk przerósł ramy planu, ale nie wywołał poza dwutygodniowym strachem żadnego pozytywnego efektu, gdyż brakło mu poparcia miast. Od numeru 10 do numeru 14 naszego pisma czołowe miejsce zajął chłopski strajk. Idziemy od konfiskaty do konfiskaty. Numer 10 cały wycofany, w numerze 14 skonfiskowano trzy kolumny, inne świecą łysinami białych plam. Strajk kończy się brutalną represją: 6000 aresztowanych, setki rannych, 40 zabitych. Podczas wypadków prasa zachowywała przymusowe milczenie. Urzędowo podawano, że strajkujący zawsze coś „usiłowali”, a władze zawsze „wdrażały porządek”. Sejm zadowolił się oświadczeniem Sławoja, że ład został przywrócony, że nieodpowiedzialne jednostki dokonały ataków gwałtu i terroru, że zajmie się nimi sąd, a w końcu oskarżono o wszystko komunistów. Prawdą było jedynie, że tam gdzie się oni mogli dołączyć do ruchu, starali się go wyprowadzić na tor bardziej rewolucyjny.

Strajk chłopski wykazał konieczność solidarności całej demokracji i przyspieszył formowanie się frontu demokratycznego. Lewica legionowa szuka form organizacyjnego działania i znajduje je w Klubie Demokratycznym. Pierwsze rokowania odbywają się na przemian u mnie i u profesora i senatora dr. Mieczysława Michałowicza. Wieść o tym roznosi krakowski „Kurier Wieczorny”, dziennik krakowskiej grupy lewicy legionowej, a „Merkuriusz” bije na alarm: „fołksfront”, jego zdaniem, organizuje się szybciej i sprawniej od Obozu Zjednoczenia Narodowego.

Już 16 października 1937 r. następuje inauguracja Klubu. Pismo „Czarno na Białem” staje się jego nieoficjalnym organem. Popierają akcję „Robotnik” i prasa socjalistyczna, „Dziennik Poranny” Związku Nauczycielstwa Polskiego oraz „Epoka” — pismo doskonałego publicysty Henryka Lukreca. Wydrukowałem wówczas w piśmie fraszkę: „Niech każdy z osobna rzepkę sobie skrobie, a znajdziemy się razem szybko w wspólnym grobie”, pt. *Życzenia dla demokratów*.

Zrobił się ruch wokoło nowej placówki, której przewodnictwo powierzyliśmy prof. M. Michałowiczowi. Wywiady i artykuły Mieczysława Michałowicza, Antoniego Wieczorkiewicza, Wincentego Rzymowskiego i moje wytyczały kampanię propagandowo-organizacyjną Klubu, która promieniowała na prowincję, gdzie zakładaliśmy podobne kluby. Finansowo pismo nic nie zyskało, ale rozszerzyło się jego oddziaływanie.

Podczas gdy w Przemyślu odbywałem karę aresztu, zastępował mnie w redakcji Zdzisław Maćkowski, mój wojenny kolega, podpułkownik rezerwy, zbuntowany starosta z Łowicza i ludowiec z przekonania. Na-

leżał również do Klubu Demokratycznego. Zastępstwo pełnił ofiarnie i z ochotą, choć ta funkcja nie przyniosła ani grosza, a raczej przysparzała kłopotów. Ze swej kariery wojskowej i administracyjnej wyniósł on surowość i bezapelacyjność w sądach, cechy niewskazane w pracy społecznej; miał więc kilka konfliktów i zraził sobie nawet oddaną nam Halinę Krahelską. Za to miał większą swobodę ode mnie w rozmowach z cenzurą, gdyż moje pozostawanie w mundurze zmuszało mnie zawsze do posługiwania się pośrednictwem Życkiego.

Zdecydowałem się za radą Andrzeja Struga poprosić o współpracę dr. Juliana Moliniaka, administratora „Robotnika”, o poglądach bliskich Strugowi. Maliniak objął redakcję i administrację pisma, którego pozostawałem faktycznym redaktorem naczelnym. Właśnie dr. Maliniakowi udało się uzyskać dla nas kolosalne osiągnięcie, które w sposób decydujący zaważyło na naszych losach: uzyskał od naczelnego cenzora „przywilej” przejścia na cenzurę rewencyjną — dr Maliniak wyzyskał w tym celu swe osobiste dobre stosunki z Władysławem Zambrzyckim. Odtąd znikła zmora „drugich nakładów” po konfiskacie, ogromnie ulżyło finansowo, zaraz rozwinęła się prenumerata, która jest możliwa tylko w warunkach ustabilizowanych. Dostaliśmy kredyt w drukarni „Robotnika”, dokąd nas dr Maliniak przeprowadził.

Po odbyciu mej kary nie chciałem korzystać z dobrej przemyskiej „posady” i złożyłem dwie prośby: do ministra o zwolnienie z wojska w stan spoczynku, do dowódcy X Korpusu Przemyskiego — o miesięczny urlop z prawem wyjazdu do Paryża na międzynarodową wystawę; chodziło mi o nawiązanie kontaktów dziennikarskich, odwiedzenie mego dobrego przyjaciela posła dr. Hermana Liebermanna, który jako były więzień brzeski na dobrowolnej banicji przebywał w Paryżu. Liebermann był mi koniecznie potrzebny, gdyż z nim tylko mogłem szczerze rozmawiać na temat przejścia do dalszej walki o powrót demokracji w Polsce, z wąskiego frontu demokratycznego — nad którego skleceniem pracował pomyślnie Klub Demokratyczny, dobrze widziany i w PPS, i w SL, obu wielkich demokratycznych partiach — do „jednolitego frontu”, mającego sięgnąć aż do komunistów.

Inną ważną sprawą, którą miałem załatwić w Paryżu, było nawiązanie stałego kontaktu z republikańską Hiszpanią i z ośrodkami polskich ochotniczych oddziałów w Hiszpanii.

W obu sprawach pewną rolę odegrał Jerzy Borejsza. Hiszpanią interesowałem się już od dłuższego czasu. Prasa polska — sanacyjna i endecka lub ONR-owska — zdecydowanie wzięła w hiszpańskiej wojnie domowej stronę rebelii generała Franco i opluwała republikanów. Republiki broniła prasa socjalistyczna oraz, póki ukazywał się, „Dziennik Popularny” Norberta Barlickiego. Czasem odzywało się dla nich pozy-

tywne echo w „Sygnałach” lwowskich i warszawskich „Wiadomościach Literackich” M. Grydzewskiego.

Po założeniu „Czarno na Białem” z miejsca poświęcałem Hiszpanii łamy i kolumny pisma. Złożyłem wizytę ambasadorowi republiki hiszpańskiej profesorowi uniwersytetu w Sewilli Pedroso, który miał, wraz z dwoma swymi współpracownikami, biuro w Hotelu Europejskim. Przez niego poznałem posła republiki Columbia, reprezentującego także demokratyczny kierunek myśli hiszpańskiej. Pedroso dostarczał mi całej dokumentacji bieżącej, jaką posiadał. Spotykaliśmy się często i nawiązała się między nami nić sympatii. Znaców Hiszpanii w Polsce było mało. Po hiszpańsku mówił Edward Boye, tłumaczyła Aura Wyleżyńska. Nową Hiszpanię znał natomiast tylko Jerzy Borejsza, którego książkę *Hiszpania* wydało wydawnictwo „Nowa Biblioteka Społeczna”, kierowane przez panią Czesławę Wojeńską. Książka była aktualna, bo obejmowała bardzo szeroko i w sposób udokumentowany okres najnowszy. Dzięki pani Wojeńskiej poznałem Borejszę i odtąd Borejsza ściśle współpracował ze mną. Początkowo dałem tylko jego hiszpańskie informacje, a potem zakres jego współpracy się rozszerzył na eseje publicystyczne z serii *Cieniów* (*Cień Bismarcka*, *Cień Clemenceau* itp.), rysujące polityczne sylwetki: były zawsze barwne, błyskotliwe, sugestywne. Później Borejsza obejmuje już stały dział kroniki międzynarodowej. Ten dział różne przechodził koleje i miał różne kolejne nazwy: „W kraju i na świecie”, „Oczy i uszy świata” (przyznaję, że zapożyczyłem ten tytuł z kroniki filmowej Fox Movietone News) względnie krótko „Kronika”, a pod piórem Jerzego Borejszy stał się „Przekrojem tygodnia”. Niechętnie zgodziłem się na ten tytuł, uważając, że „Oczy i uszy” są lepsze, ale Borejsza miał inne kompleksy — chciał nawiązać do wydawanego ongi i zamkniętego tygodnika „Przekrój Tygodnia”. Z dawnego „Przekroju Tygodnia” pracował ze mną jako sprawozdawca teatralny Jerzy Pański (późniejszy dyrektor telewizji w PRL). Objęcie „Przekroju” przez Borejszę nastąpiło jednak dopiero w drugiej połowie 1938 roku.

Borejsza miał talent publicystyczny. Z przekonań był komunistą. Był to już drugi komunistą wśród współpracowników. Pierwszym był Mieczysław Kwiatkowski, który pisał pod pseudonimami K. Miecz., K. Działyński i innymi.

W Paryżu, mając list polecający ambasadora Pedroso, nawiązuję kontakt z „Casa de Espania” przy bulwarze Madelaine, gdzie koncentrowała się akcja propagandowa republikańska. W głębi była olbrzymia mapa sztabowa, na której oznaczano sytuację wojenną dnia. „Casa” miała publikacje, liczną ikonografię fotograficzną, obszerną dokumentację obcą i własną do wyzyskania na miejscu. Przez nią nawiązywałem już dalsze kontakty, nawet z biurem werbunkowym brygad międzynarodowych,

którym przez czas pewien kierował gen. Walter (K. Świerczewski). Mogłem również zawierać znajomości z dojeżdżającymi działaczami republiki, jak minister Alvarez del Vayo. Był on osobistym przyjacielem Czesława Poznańskiego, który przebywał w Paryżu od czasu, gdy opuścił stanowisko sprawozdawcy przy Lidze Narodów w Genewie, gdzie właśnie Alvarez go poznał. Ja zaś znałem już Poznańskiego z Warszawy, po prostu z ogródka Cukierni Ziemiańskiej Albrechta na Mazowieckiej. Czesława Poznańskiego również odnalazłem i służył mi nieocenioną pomocą w stosunkach francuskich. Sprawę hiszpańską miałem więc doskonale „obstawioną” włącznie z drogą do dąbrowszczaków. Zapewniłem sobie stałe informacje dla pisma.

Dalsze kontakty francuskie miał mi dać Liebermann. Nie pamiętam, przez kogo włączyłem się do jednego z dwóch ruchliwych klubów dyskusyjnych w Paryżu, oczywiście lewicowych. Były to Klub Przedmieścia (du Faubourg) i Klub Frontu Ludowego (Club du Front Populaire) — wybrałem sobie ten ostatni i wygłosiłem tam odczyt o polskich strajkach chłopskich. Odczyt zgromadził wielu słuchaczy w sali; przy ulicy „de la Boétie” było wiele pytań; zainteresowanie Polską było wielkie, dla wszystkich niemal była sfinksem.

Chyba nie muszę dodawać, że we Francji w roku 1937 rządził gabinet Frontu Ludowego, koalicji lewicy, która w lecie 1936 roku, niemal w tym samym czasie co w Hiszpanii, zwyciężyła przy wyborach i obaliła rząd Lavalą. Skład koalicji tej obejmował socjalistów, radykałów i komunistów, przy tym najliczniejsi byli socjaliści SFIO wraz z niezależnymi socjalistycznymi grupkami. Premierem został socjalista Leon Blum, a wicepremierem radykał Daladier. Front Ludowy francuski był dla mnie przykładem jednolitego frontu, który chciałem w Polsce wprowadzić do walki z obozem rządowym. Dlatego zapoznałem się z nim przez Liebermanna, który był socjalistą, miał szeroki umysł, był osobistym przyjacielem Leona Bluma. Nasz rząd nie zdawał sobie sprawy, że jego inicjatywy w stosunkach polsko-francuskich bywały zazwyczaj przedmiotem narad Bluma z Liebermannem, którego tak ostro rząd ten potępiał i maltretował.

Ogromną mi okazał pomoc Liebermann w nawiązaniu kontaktów starych z prasą Frontu: szef gabinetu Bluma, późniejszy naczelny redaktor pisma francuskiego w Londynie „France”, podczas wojny przy Komitecie gen. de Gaulle’a, do każdego redaktora osobiście telefonował. W ten sposób poznałem Pertinaxa (André Geraud), znakomitego redaktora czasopisma „Europe Nouvelle”, do którego redakcji na wybrzeżu Sekwany miałem odtąd zawsze wstęp wolny. Pertinax należał do rasowych publicystów dyplomatycznych o świetnych źródłach informacyjnych i spokojnym, zrównoważonym sądzie własnym — odbijał od tych, sławnych

nawet, dziennikarzy, którzy zawsze byli pierwsi w podawaniu wiadomości, w których troska o sensację górowała nad poczuciem odpowiedzialności za rzetelność informacji. Pertinax zachowywał przy tym niezależność i w okresie monachijskim (w następnym roku) nie poddał się tendencjom odgórnym ku kompromisom z Hitlerem. W sprawie hiszpańskiej zajmował stanowisko podobne do mojego.

Poznałem i innych asów prasy francuskiej o wybitnie antyfaszystowskim nastawieniu: byli to Emil Buré („Epoque”), Henri de Kerillis („Echo de Paris”) i Genowefa Tabouis („Oeuvre”) — każdy miał własną twarz, odrębny kierunek, ale też każdy był ciekawy przez śmiałe, osobiste postawy. Pani Genowefa była wówczas faworytką publiczności paryskiej, od chwili gdy napisała swą książkę o Anglii *La perfide Albion* (Perfidny Albion), bardziej nawet uszczypliwą dla polityków brytyjskich od *Londynszczyzna Cata-Mackiewicza*. Pani Genowefa, zwana córą Quai d’Orsay, była córką Cambona, ambasadora Francji w Londynie, jednego z braci Cambon, z których każdy był francuskim dyplomatą. Dotarłem także do ich politycznego przeciwnika, publicysty katolickiego dziennika „Aube”, pana Georges Bidault, który w tym czasie był również wybitnym antyfaszystowskim szermierzem. Przyjął mnie w swej redakcji w parafii Saint-Sulpice w towarzystwie pana Terrenoire — obaj odegrali w okresie wojennym i powojennym wybitną rolę we Francji. Z Bidault utrzymywałem stosunki przez dłuższy czas nawet po zamknięciu mojego pisma: w czasie okupacji niemieckiej we Francji Bidault stanął na czele ruchu oporu. Był to mój drugi katolicki punkt informacyjny — pierwszy założyłem w Kolonii nad Renem. Oba ogromnie się przyczyniły do wszechstronnej dokumentacji „Czarno na Białem”.

W Klubie Frontu Ludowego zetknąłem się blisko z komunistyczną partią Francji (P.C.F.). Sekretarz generalny klubu, Serge Varenne, był komunistą. Zaprzyjaźniliśmy się bardzo, bywałem u niego (mieszkał koło parku Buttes Chaumont ze swą staruszką matką). Zapraszałem go nieraz na obiad do restauracji „Oberża pod Królową Gęsią Nóżką” (Auberge de la Reine Pedauque) — jemu zawdzięczam znajomość kulis francuskiego Frontu Ludowego oraz poznanie się z Gabrielem Péri. Serge obiecywał listem odręcznym co tydzień nadsyłać informacje poufne z Frontu Ludowego i dotrzymywał słowa. Dołączał czasem wycinki z prasy. Materiały te dawałem później Borejszy do „Przeglądu tygodnia” i zawsze je wyzyskiwał w ramach cenzuralnych możliwości. Zapiskom Serge Varenne’a ta nasza kronika zawdzięczała głównie swą bogatą, a także zaskakującą treść. Dochodziły do tego nieregularne listy księdza X z Kolonii oraz drukowane na prawach rękopisu „letters” Stephane’a King Halla z Londynu, świetnego informatora zarówno z kuluarów pałacu westminsterskiego, jak i salonu lady Astor, egerii angielskiej konserwy.

Ten składkowy materiał podbudował sławę zarówno „Czarno na Białem”, jak Jerzego Borejszy.

Gabriel Péri (zamordowany przez Niemców w czasie okupacji) był czołowym publicystą „Humanité” — dla jego artykułów głównie czytywałem tę gazetę P.C.F. Czyniło to także wielu innych, nawet przeciwników komunizmu. Miał umysł wszechstronny, jak Pertinax. Był dalekowzroczny i spokojny. Nie miał w sobie sekciarstwa. Nawet przeciwników umiał cenić. Tak rozumiem Europejczyka. Rozmowy z nim były wielką przyjemnością. Spotykaliśmy się codziennie w „Café de la Paix” obok Opery „w godzinie aperitif” koło 5-tej, skąd już szedł pisać swój artykuł wstępny do następnego numeru.

Liebermann dał mi listy polecające do swych przyjaciół w kraju, do Ludwika Grosfelda w szczególności, gdyż Grosfeld był w Przemyślu jego politycznym uczniem i zastępcą, Liebermann był właśnie stamtąd posłem. Zapoznał mnie ze swym sekretarzem Ignacym Hennerem i z moim przyszłym korespondentem z Paryża Michele Thau (Słowiński), który szybko stanął na równi z takimi „sprawozdawcami zagranicznymi” wielkiej prasy polskiej, jak Kazimierz Smogorzewski i Florian Sokołow. Z Liebermanem dobiłem ważnego układu. Przesyłał od czasu do czasu artykuły podpisane gwiazdkami, a w Paryżu założyliśmy razem pismo „Świat i Polska” dla stałej emigracji polskiej we Francji, do której obiegowych pojęć „Czarno na Białem” nie było dopasowane. Pismo to wychodziło regularnie do końca maja 1939 roku, kiedy Liebermann (po naradzie ze mną) uznał jego zadanie za wykonane. Już skończona była wojna hiszpańska, a „Świat i Polska” obsługiwał polskich ochotników brygad międzynarodowych, z drugiej zaś strony już rząd polski przeszedł na tor polityki antyhitlerowskiej, o co właśnie walczyliśmy.

Po powrocie z wyprawy tak owocnej spotkał mnie w Warszawie wielki cios. Umarł Andrzej Strug. Jego śmierć wstrząsnęła nie tylko całą demokratyczną lewicą, dla której był pochodnią, ale całą Polską bez względu na polityczne kolory: nawet prasa politycznie wroga podnosiła jego wielkie cnoty moralne; nawet Adolf Nowaczyński, zjadliwy pamfletysta, pisał, że „nie było w Polsce tak szlachetnego człowieka”, a konserwatysta Ksawery Pruszyński wołał o nagrodę Nobla dla twórcy *Żółtego Krzyża*.

Dla „Czarno na Białem” była to strata moralnego opiekuna. Strugowi zależało na piśmie i wiedząc, jak walczymy o życie, dał nam bezinteresownie swoją nie dokończoną satyryczną powieść o sanacyjnej Polsce *W Nienadybach byczo jest* — w prototypach postaci w niej występujących łatwo odnaleźć Felicjana Sławoja Składkowskiego i jego ludzi.

W olbrzymim, stutysięcznym pochodzie pogrzebowym z domu pisarza na cmentarz wojskowy w zimny grudniowy dzień szedł także ambasador republikańskiej Hiszpanii Pedrosa, który mi mówił o Strugu: „wasz Miguel Unamuno”.

„Czarno na Białem” pożegnało Struga w dwóch numerach pisma, a potem 13 lutego 1938 roku wydało numer specjalny jemu poświęcony (przeszliśmy już wówczas z formatu 28 × 40 cm na format duży 38 × 57 cm, a redakcja przeprowadziła się z ul. Hortensji, obecnie L. Górskiego, na Mokotowską 49).

W numerze specjalnym obok artykułów A. Próchnika, Jana Turonia (J. Grzędziński), T. Swieckiego (Teofil Wojeński), Stanisława Czosnowskiego, Janusza Korczaka, Pawła Hulki-Laskowskiego, J. Rадuskiego (J. Maliniak), Stefana Pomiana, Jana Karola Wendego, poetów: Edwarda Szymańskiego i Czesława Czaplińskiego, oraz wielu przedruków, opublikowałem nieznaną rękopis „wczesnego Struga” bez tytułu, zaczynający się od słów „Rozpętać cały zasób sił...”, pisany w Bukowinie Tatrzańskiej w uniesieniu rewolucyjnej ekstazy na progu rewolucji 1905 roku. Do Andrzeja Struga powracałem jeszcze kilkakrotnie potem w „Czarno na Białem”.

Zatrzymałem się nieco dłużej nad „operacją Paryż”, gdyż była ona bardzo istotna dla montażu pisma na zwrotnym punkcie ku jednolitemu frontowi. Pod wpływem przeżyć ostatniego półrocza idea montowania jednolitego frontu walki o demokrację zaprzętała moją uwagę. Opieranie się w tej walce li tylko na opozycyjnych legionistach nie mogło stworzyć siły — w dodatku istniały koleżeńskie powiązania między legionistami rządowego i antyrządowego autoramentu. I jedni, i drudzy wierzyli, że „bójcie się Boga”, koledzy, jakoś tam dojdziemy do porozumienia”. Poseł Wojciechowski poprowadził nawet swoją grupę lwowskiej „opozycji legionowej” do OZN „z własnymi sztandarami”, co w ten sposób mieliśmy swoich ludzi i w Obozie, ja i grupa moich przyjaciół legionowych odrzucaliśmy taką taktykę jako wnoszącą zamieszanie. Nazywałem to politycznym spadochroniarstwem. Jednak godzi się przyznać, że gdy pod naszymi atakami wreszcie szef OZN-u Koc dostał dymisję, pewna zasługa należy się i tym kolegom, którzy metodą Wojciechowskiego domagali się tej dymisji wewnątrz Obozu.

Jednak trzeba było wyjść poza ramy legionowe, ramy Klubu, którego skład wieloświatopoglądowy pozwalał na dużą rozpiętość skojarzeń ideowych. Były dogodne na pepiniere jednolitego frontu, zwłaszcza w sekcji młodzieżowej, do której z wolna przeprowadzało się wielu „życiowców”, tj. członków akademickiego stowarzyszenia „Życie” o ko-

munistycznej ideologii, ponieważ po zlikwidowaniu przez Stalina Komunistycznej Partii Polski również i ono się rozwiązało.

Opozycja z prawa — Stronnictwo Narodowe i Front Morges — do wspólnego frontu z nami się nie nadawały. Stronnictwo Narodowe nastawiło się na faszyzm. Mimo opozycyjnych nastrojów tego okresu w społeczeństwie było ono słabe, przede wszystkim skutkiem wewnętrznych sprzeczności. Walczyć w imię faszyzmu przeciw sanacyjnemu „wstydliwemu faszyzmowi” było niełatwo. Z drugiej strony obóz narodowy (ND) miał w sobie kompleks niższości, skutkiem czego nie wierzył we własne siły i czepiał się obcych sił: podczas zaborów w Królestwie reprezentował orientację rusofilską, w Małopolsce — austrofilską, a gdy i Rosja (carska), i Austro-Węgry zapadły się w nicłość, obóz narodowy — podwójny bankrut — szukał nowego konia i stał się frankofilski. I znowu pech go prześladował: Francja Poincarego i Lavalą również się zapadły, a Francja Leona Bluma to przecież ta „żydo-komuna”, dla ND wróg numer 1? Rozmowy z ND wykluczałem. Front Morges — zgrupowanie umiarkowanie liberalne (Stronnictwo Pracy, Chrześcijańska Demokracja ze Śląska, elementy ludowe, a zwłaszcza generał Władysław Sikorski i Ignacy Paderewski) — zabiegał o porozumienie ze mną. To ugrupowanie również do czynnej akcji nie miało danych — liczyło tylko na międzynarodową koniunkturę. Chętnie utrzymywałem kontakt z redaktorem Ryszardem Świętochowskim — synem Aleksandra, który kierował ich tygodnikiem „Odnowa”, ale poza ten kontakt nie wychodziliśmy.

Montowanie jednolitego frontu było dlatego trudne, że Min. Spraw Wewnętrznych tylko czekało na sposobność, aby nas zamknąć, a takim pretekstem wielokrotnie wypróbowanym było ujawnienie udziału współpracowników-komunistów. W ten sposób położono szereg pism od owego „Przekroju Tygodnia” zaczynając, poprzez „Lewar”, „Lewy Tor”, „Poprostu”, „Oblicze Dnia” i „Dziennik Popularny”. Borejsza, który już był moim współpracownikiem, nie ujawniał, że był komunistą. Aby uniknąć „wsypy” na podobieństwo „Dziennika Popularnego”, w którym Kagan-Sierpiński (Kłós) stał się częstym gościem, należało wykluczyć jawne kontakty. Taki jest paradoks tych ponurych czasów, że nawet legalne pismo, jak moje, musiało używać nielegalnych metod. Bardzo przydatna okazała się Hanka Szmuszkiewiczówna, która dzięki swym komunistycznym stosunkom skomunikowała mnie z Mieczysławem Kwiatkowskim, a przez niego z innymi, jak np. z Wicentym Banasiem (późniejszym prof. Zygmuntem Młynarskim). Znakomitym wynalazkiem dla pisma okazał się Aleksander Mankiewicz. Właśnie zamknięto „Przegląd Wschodni”, którego on był redaktorem. Mankiewicz nie tylko znał doskonale problematykę radziecką, gdyż dopiero niedawno z Rosji powrócił, ale miał też opanowaną technikę redakcyjną. Miałem wolne miejsce administratora,

które Mankiewicz przyjął z tym dodatkowym — ale najważniejszym — zadaniem łączności z komunistycznymi autorami: żaden z nich nie miał przekraczać progu redakcji, a Mankiewicz w swym żoliborskim mieszkaniu na Dziennikarskiej założył, że tak nazwę, skrzynkę pocztową redakcji dla mych nielegalnych współpracowników. Ten system zdał doskonale egzamin i pismo dotrwało do końca, tj. do wkroczenia wojsk Adolfa Hitlera, które zdjęły z maszyny drukarskiej nr 115 pisma i rozsypały go z wściekłością. A więc pismo pobiło rekord trwania swych poprzedników: wychodziło od 23 czerwca 1937 r. do 4 września 1939 roku i istniałoby dłużej, gdyby nie *vis maior*. Dla porównania podam, że „Poprostu” istniało przez 7 miesięcy, „Oblicze Dnia” 3½ miesiąca, a „Dziennik Popularny” 4½ miesiąca. Naturalnie red. Julian Maliniak trzymał w swym ręku redakcyjną cenzurę i adiustację artykułów; narzekano nań, że był surowy w ocenie i nieustępliwy, ale artykuły spod jego ręki za to do czytelnika trafiały. W końcu 1938 roku, gdy Julian Maliniak wyszedł z redakcji, adiustacją zajął się poeta Władysław Broniewski, wielki patriota pisma, do którego go zwabiłem z „Wiadomości Literackich” — byliśmy starymi, dobrymi kolegami legionowymi z frontu.

„Czarno na Białem” utrzymało do końca zamiłowanie do kampanii prasowych. Akcji na rzecz klubów demokratycznych i frontu demokratycznego nie mogę nazwać kampanią, bo była stałą nicią przewijającą się przez pismo, w którym ukazywały się również regularnie sprawozdania klubów, zapowiedzi zebrań, aczkolwiek nigdy nie przyjąłem tytułu organu Klubu, aby zachować pełną swobodę działania na jednolitym froncie. Byłem więc w tym samym stosunku do Klubu, co na przykład „Epoka”, z tą różnicą, że osobiście objąłem prezesurę Klubu, gdy profesor M. Michałowicz został prezesem Komitetu Organizacyjnego Stronnictwa Demokratycznego, a po jego założeniu w kwietniu 1939 roku prezesem samego Stronnictwa. Ale i wówczas między Klubem a piśmie była tylko unia personalna.

Kampanie prasowe kładły pewne akcenty na szczególnie aktualne sprawy. Po kampaniach wawelskiej, legionowej, strajku chłopskiego „Czarno na Białem” lansowało akcję prasową dla poparcia strajku nauczycielskiego od 1 listopada 1937 do lutego 1938. Strajk skończył się sukcesem Związku Nauczycielstwa Polskiego i uznaniem na jego zjeździe dla potępionego i zawieszzonego przez władze zarządu. Wobec szalejącej akcji antysemitkiej na wyższych uczelniach i po antyżydowskich wyskokach młodych ONR-owców na ulicach wydaliśmy numer specjalny w sprawie żydowskiej. Numer był ciekawy, gdyż dał głos trzem grupom politycznym Żydów polskich (Mojżesz Kleinbaum, Wiktor Adler i Leopold Halpern), kilku autorom polskim oraz zawierał dane statystyczne i historyczne. Pisałem w artykule wstępnym (pod pseud. Jan Turoń):

„[...] rozpalono antysemityzm [...] bez żadnej troski o godność i dobre imię Polaka [...] Sprawa żydowska nabrała jaskrawości, jakiej przez cały ponad 600 lat trwający okres współżycia Żydów w Polsce nie miała. Historia nasza każe nam sądzić, że inne, nie polskie, wtrącić się musiały ręce, by życie polskie z taką premedytacją skotłować”.

Wincenty Rzymowski, który już był współpracownikiem w każdym numerze pisma, daje groteskowo demaskatorski artykuł z zakamarków endeckiego myślenia pt. *Gdyby Żydów nie było*, sugerując odpowiedź, że dla „narodowców” są oni po prostu konieczni. Artykuły prof. A. Rajchmana i M. Kwiatkowskiego były na wysokim poziomie.

Najciekawsze jest jednak to, że numer spotkał się z niechęcią właśnie wśród samych Żydów. Tłumaczono to różnie. Środowisko żydowskie było jeszcze bardziej zróżnicowane od polskiego, i pp. Keimbaum, Adler i Halpern mieli więcej wrogów niż przyjaciół, a najbardziej zraził Żydów artykuł nie podpisany Jerzego Borejszy *Nasze stanowisko: o jasność i odpowiedzialność*, w którym Borejsza uważa, że sprawa żydowska „może znaleźć rozwiązanie tylko poza ramami obecnego ustroju politycznego”. Pisze znów, że „perspektywy widzimy w szkole rzemieślniczej, a nie w chederze, w robotniku żydowskim, nie w handlarzu”. Łatwo sobie wyobrazić efekt tego w przeważającej masie sklepikarzy! Na domiar Borejsza delektuje się takimi zdaniami, jak „Stragan nie jest dla nas ekonomicznym fetyszem, tak samo jak jarmułka i chałat nie mogą być kulturalnym fetyszem”. Był dumny ze swego ideologicznego wyczynu!

Rachunek za „pryncypialność” Borejszy wypadł jednak słony. Po numerze została obfita makulatura. Ci, którzy z „Czarno na Białem” robili organ „żydo-komuny”, gdyby to wiedzieli, ostatecznie by zgłupieli. Ale na tym numerze nie przestaliśmy walki z rasizmem i antysemityzmem. Dwie kampanie zajęły najwięcej miejsca w piśmie: kampania hiszpańska i kampania czeska. Pierwszej poświęciliśmy 50 artykułów, drugiej 44, nie licząc kroniki.

W kampanii hiszpańskiej najwięcej artykułów było moich (pod własnym nazwiskiem i pod pseudonimami Krystyn Ostroga i Niegog) Jerzego Borejszy, Zygmunta Jarosza, Edwarda Boye, M. Lewickiego, Zofii Krawczyńskiej: każde wydarzenie wojny domowej, każde dyplomatyczne posunięcie w sprawie hiszpańskiej było omówione. Zaraz po powrocie z Paryża dałem numer hiszpański z tłumaczeniami hiszpańskich autorów, by zapoznać Polaków z tak odrębną kulturą i sztuką hiszpańską, a przede wszystkim wydobyć republikanów spod warstwy fałszów, którymi ich przywaliała propaganda reakcji i faszystwu w Polsce. Oszczercstwa były tak bezczelne, że w jednym z pierwszych numerów „Kroniki Polski i Świata”, wydawanej przez front prawicy od Adolfa Nowaczyńskiego do Melchiera Wańkowicza, umieszczono zdjęcie żołnierzy hiszpańskich trzy-

mających każdy w ręku ociekającą ściegłą głowę Marokańczyka, objaśniając, że tak barbarzyńsko postępują republikanie wobec wziętych do niewoli Marokańczyków z wojska generała Franco! Zdawało mi się, że jest to jakiś perfidny fotomontaż, gdy okazało się, że fotografia została ściągnięta z *Pamiętników* Abd-el-Krima, spisanych i wydanych przez pewnego dziennikarza francuskiego w rok po stłumieniu powstania w marokańskim Riffie, tj. w 1927 roku! Treść była wręcz odwrotna: byli to żołnierze ówczesnego pułkownika Francesco Franco, popisujący się ściętymi głowami swych jeńców Marokańczyków... Ta wykryta perfidia propagandy polskich wielbicieli frankowskiego faszyzmu poderwała „Kronikę”, a nam przybyło powinszowań i nowych czytelników. Zaznaczę przy tej okazji, że od chwili gdy pismo zdobyło dużą popularność, nakłady rosły z każdym numerem, tym bardziej że układ nasz o cenzurę prewencyjną pismo ustabilizował. Władze pogodziły się z myślą, że istniejemy. Wzrósł też krąg współpracowników; bilansując cały okres naszej egzystencji we wrześniu 1939 roku stwierdzić mogłem, że przez pismo przewinęło się około 350 piór!

Do sprawy hiszpańskiej szczególnie przywiązywałem znaczenie — zjawisk politycznych, które się objawiały na terenie Europy, już w tym czasie nie wolno było separować żadnymi liniami w terenie, gdyż łączyły się one ściśle z sobą: faszyzm przelewał się poprzez granice, więc walka z nim powinna być także międzynarodowa. Zresztą był on i u nas i, jak widać było z propagandy naszych „nacjonalistów”, u nich ideałem, a z takiej Hiszpanii czerpali oni pełną garścią wzory do zatrucia polskiej świadomości. Stąd wypływało jasne wskazanie: z polską reakcją trzeba było walczyć na polskim Mazowszu, jak i na hiszpańskich sierrach, Hiszpania dla interwentów niemiecko-włoskich była nie tylko bowiem poligonem do wypróbowania nowych broni i nowych taktycznych metod na ludzie hiszpańskim, ale miała im dać przewagę siły nad państwami demokracji, które uprawiały „nieinterwencję” i ... umywały ręce. „Sedan Hiszpański — pisałem w tytule jednego z artykułów — stanie się Maciejowicami Europy”. Niech to moje przekonanie będzie wytłumaczeniem „furii hiszpańskiej” w „Czarno na Białem”. U nas też Władysław Broniewski wydrukował swój piękny wiersz *No pasaran* („Nie przejdą!” — tak pisali republikanie na murach, na chodnikach, na wywieszkach przygodnych, rozstawionych na drodze wojsk generała Franco). Przeszli jednak w lutym 1939 roku, a gdy przeszli i zajęli całą Hiszpanię, zaczął się najtragiczniejszy okres właśnie dla naszego kraju: nam Hitler rzucił wówczas wyzwanie. Nie nasi więc przeciwnicy, ale my mieliśmy rację.

I znowu mogliśmy mieć *schadenfreude* — od początku naszego istnienia gromiliśmy błędy naszej polityki zagranicznej. Nie będę w wąskich

ramach tych wspomnień opisywał kolejnego przebiegu naszej zawziętej walki z polityką zagraniczną Józefa Becka, której każdy etap szkodził interesom Polski, a wszystkie były jednym pasmem absurdów. Zarówno stawiając opór zasadom zbiorowego bezpieczeństwa, sprzeciwiając się idei paktów zbiorowych, wypowiadając się za tajnością dyplomacji, podpisując autorytet Ligi Narodów, odmawiając sankcji przeciw agresji imperialistów włoskich, wymawiając Lidze prawo do opieki nad mniejszościami narodowymi, jak nie przeciwstawiając się aneksjom Hitlera i prowokując opinię publiczną narodów drażniącymi wypowiedziami i postawami Józef Beck rozbrajał nas wobec rosnącej potęgi Niemiec i kopał Polsce grób. Zdawaliśmy sobie jasno sprawę, że mimo iż polityka wewnętrzna sanacyjnego obozu skłoniła nas do założenia pisma, to tragizm międzynarodowej naszej sytuacji systematycznie pogłębianej przez Becka zmusza nas do zmiany hierarchii ważności naszej problematyki: przesuwamy na pierwsze miejsce politykę zagraniczną i zagadnienia międzynarodowe tak, iż komplet numerów czasopisma zawiera około 700 pozycji dotyczących tej właśnie dziedziny, nie licząc, jak zwykle, kroniki, która przecież w 90% dotyczyła spraw zagranicznych — chyba każdy przyzna, że 700 większych i mniejszych artykułów w 114 numerach to proporcja nigdzie nie spotykana. Około 60 pozycji ma mój podpis lub moje pseudonimy (Krystyn Ostroga, Jan Toruń, Poświst i K. Jaskoład) — zwłaszcza tę tak drażliwą publicystykę musiałem prowadzić w cuglach. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że zasadniczym błędem Becka była jego fałszywa wiara w siłę papierków, mimo że niemieccy mężowie stanu od Bismarcka po Hitlera z całym cynizmem ujawniali swoją pogardę dla dyplomatycznych aktów przez siebie podpisywanych. Beck opierał się na paktach o nieagresji, tak jak by to były tarcze nie do przebiccia, wały ochronne twierdzy. Jest nie do przebaczenia u Becka, pułkownika dyplomowanego, brak zrozumienia tego, że tylko stosunek sił, a nie owe „papierki”, decydował o naszym bezpieczeństwie, a ten stosunek od chwili zerwania ograniczeń traktatowych przez Hitlera i wyzwolenia jego imperializmu zmieniał się na naszą niekorzyść w tak piorunującym tempie, że zmuszał do zupełnej i gwałtownej zmiany polityki zagranicznej, do montowania systemu nowych sojuszków, nowych podpór obronnych dla kraju, zamiast czego Beck likwidował nawet stare. Megalomania potęgowała ślepotę Becka. To musiało go doprowadzić do satelityzmu i lokajstwa wobec Hitlera, tak nieprawdopodobnie sprzecznego z mocarstwową pozą, którą Beck przybierał. Nie można było chyba znaleźć gorszego ministra spraw zagranicznych dla Polski. W takim przekonaniu go zwalczałem.

Nie dało się ściśle sztabowo podzielić tego sektora walki. Wincenty Rzymowski, od czasu swego dłuższego pobytu w więzieniu Mussoliniego,

był predestynowany do walki z faszyzmem. Obiecywał mi nawet napisać „I miei priggioni” na podobieństwo Silvio Pellico, co by zastąpiło urwaną powieść Andrzeja Struga, ale, choć pisał szybko, nie znalazł na to czasu. Za to faszyzmowi i hitleryzmowi wiele świetnych poświęcił artykułów w naszym piśmie. A za nim prof. A. Rajchman, M. Kwiatkowski, M. Lewicki, Peregrinus (Weinryb), J. Raduski, Wiktor Czernow — dawny wódz rosyjskich socjalistów-rewolucjonistów zamieszkały w Pradze, J. K. Wende — późniejszy wicemarszałek sejmu PRL, Henryk Dembiński z zamkniętego „Poprostu”, Jan Krzesławski (Cynarski) z PPS, Rudolf Lessel (Szulkin) z obecnego „Kuriera Polskiego”, Włodzimierz Lencki i wielu moich korespondentów zagranicznych, jak Józef Płoński (Dorian), później w PRL redaktor pisma „Polska”, jak Michel Thau (Słowiński) z Paryża oraz autorzy francuscy i niemieccy, jak Albert Beyet, Genowefa Tabouis, Al. Zevaés, Armand Latour, Edouard Herriot, Christan Pineau — późniejszy minister spraw zagranicznych Francji, Helmut Klotz, Pusta, minister estoński, łotewski Cielens. W ostatnim okresie pod pseudonimem Adam Skiba miał swoje „okienko” w piśmie Benedykt Elmer z polskiego MSZ. Michał Derenicz prowadził regularnie dział chiński.

Osobiście wziąłem pod swoją muszkę Berlin, Londyn i Paryż. Spod mego reflektora nie wypuszczałem Chamberlaina, który kołysząc pokój wypielegnował wojnę od „nieinterwencji hiszpańskiej” do Monachium. Jemu poświęcam esej *Saga rodu Chamberlainów i Zdrada londyńskiej City*, on jest głównym bohaterem cyklu dialogów Krystyna Ostrogi *W hallu hotelu „Commodore”*, nie schodzi też ze szpalt „Przekroju Tygodnia” Jerzego Borejszy, on też i jego symboliczny parasol, który miał Europę uchronić przed deszczem pocisków, był faworytem, obok Hitlera, ostatniej kolumny pisma — „Kolumny satyry”, i utalentowanych karykaturzystów, jak Parecki, J. Krajewski — późniejszy prezes Zw. Art. Plastyków w PRL, Z. Wasilewski i inni.

Niejasność polityki francuskiej, wewnętrzne rozdźwięki Frontu Ludowego, wzrost bezmyślnego wygodnictwa, strusia polityka pacyfizmu były mi aż nadto dobrze znane. Trzy razy w roku bywałem w Paryżu, dokumentacje regularnie dochodziły mnie z moich pewnych źródeł. Ogólny pogląd na francuski zamęt dałem w szeregu artykułów swoich pt. *Revolucja na zapiecku*. Demaskowałem uboczną i podstępą akcję ministra spraw zagranicznych Francji Georges’a Bonnet i Jeana Mistier — prezesa Komisji Zagranicznej w Paryżu, którzy podniecali i finansowali monarchijską propagandę, która nie demokracji i nie Francji, lecz faszyzmowi miała służyć. Z tego imbroglia wyłonił się dramat Czech. Stał się on może największą naszą walną bitwą. Było to apogeum hitlerowskich triumfów i tu polityka Becka dosięgła swego dna. Zaraz po anszlu-

sie Austrii, który nie przerwał Beckowi jego włoskich wakacji, zaczęła się akcja sudecka pod dyktandem Hitlera, od marca 1938 r. chmury nad Pragę się zagęszczały. Trzeba przy tym przyznać, że nowy koń hitlerowskiego zaprzęgu, wynaleziony przez cynika Goebbelsa, a mianowicie „wyzwalanie i samostanowienie mniejszości” (taką byli Niemcy sudecty), trafiał do demokratycznych sumień nie tylko u nas, ale na całym świecie. Trzeba było wyzwolić się z matni fałszów, nie dać się omamić pozorami demokracji, nam w Polsce zwłaszcza groziła rola „Czerwonego kapturka” przy łożu wilka-Hitlera.

Realna polityka wymagała, aby pójść pod prąd. Jasne było, że Niemcy w Czechach to nasza południowa granica pod ich ogniem. Porozumiewam się z radcą poselstwa Czechosłowacji — Hergetem, by mi ułatwił bezpośrednie kontakty z Pragę, z liderami wszystkich prądów politycznych Czech, z ministrami głównych resortów. Herget natychmiast udaje się do Pragi i gdy wszystko było gotowe, przyjechałem do Czech z redaktorem Mankiewiczem. Pobyt mój trwał 10 dni i był niezmiernie owocny. Wypadło to po zażegnanej przez znakomicie wykonaną mobilizację czeską próbie militarnej wkroczenia Hitlera do Czech w ostatniej dekadzie maja 1938 r. Była to fala optymizmu. Odbyłem rozmowy z ministrem spraw zagranicznych dr. K. Kroftą, min. lotnictwa gen. Jarosławem Fajfrem, z redaktorem „Lidových Novin” Hubertem Ripką, z senatorem Wacławem Kłofaczem, prezesem dr. Hlavką, posłami R. Beranem, A. Hamplem, ks. Svetlikiem, J. Patejdem, z niemieckim posłem Jakschem, z miejscowymi Rosjanami Wiktorem Czernowem i Suchomlinowem korespondentem belgijskiej prasy, i redaktorem praskiego francuskiego pisma „Europe Centrale” oraz z szeregiem ludzi apolitycznych, ludzi ulicy — wszędzie było znakomite morale i duch oporu. W szeregu numerów szły moje wywiady i artykuły: *Uwaga na Pragę*, *Czechosłowacy mówią* itp. Płoński dosyłał aktualne korespondencje z Pragi, Czernow swoje refleksje na tematy praskie — żyliśmy pod znakiem Czechosłowacji przez 4 miesiące. W Czechach zapanowało pełne zrozumienie, że tylko wspólny front polsko-czeski może obronić przed Hitlerem. I gotowi byli iść w tym celu na każdy kompromis. A realnie biorąc, tylko taki front i nas mógłby obronić. Tę ideę lansowałem, uważając, iż w roku 1938 Polska i Czechosłowacja miały jeszcze razem militarną przewagę nad Niemcami; w roku 1939, już bez Czech, Niemcy mieli przewagę nad Polską i Francją.

Tragedia Czech stała się naszym dramatem. Byłem jeszcze raz potem w Czechach w pierwszej połowie września, jeszcze działał mediator angielski lord Runciman. Już morale było gorsze — zdawano sobie sprawę z dwulicowości Anglii. Odbyłem konferencję w czeskim Rožnowie z przebywającym tam, jako banitą, Wincentym Witosem i zaproponowałem w tej sytuacji tworzyć polski legion do obrony Czech. I Witos, i płk Mo-

ravec ze sztabu generalnego tę myśl poparli. Z tym wyjechałem do Paryża na konferencję z Liebermannem, po czym odbyłem rozmowę z ambasadorem czechosłowackim w Paryżu — Osuskim. Zasadniczo się zgodził, acz bez entuzjazmu. Sprawę przewlekał skutkiem konieczności porozumienia z Hradczynem przez dr. Kroftę i konferencji z gen. Surowym w Pradze.

„Czarno na Białem” tak się wplotło w swoją epokę, że każde jej wydarzenie pulsuje na jego łamach. Tętno jego artykułów, tętno jego kolumny satyry, którą redaguje już Władysław Broniewski, coraz bardziej się podnosi. I ona odczuwa na sobie ucisk cenzury. Cenzura broni szczególnie przyszłego kata Polski Adolfa Hitlera. Zostałem kiedyś w redakcji przy stole E. Wasilewskiego prawie we łzach. W ostatniej chwili przed drukiem cenzor odrzucił jego karykaturę Hitlera w cyklu 6 obrazków pod tytułem *Zdobycwa*. A było to przecież w sierpniu 1939 roku, kiedy już na miejscu niedawnej sielanki rozgorzał oficjalny konflikt z III Rzeszą! Na szczęście znalazł się wówczas kompromis: cenzor zgodził się puścić *Zdobycwę* za cenę wąsika Adolfa Hitlera: Hitler bez wąsów (a podpisu pod obrazkami nie było) mógł uchodzić za... nawet już nie wiem, za kogo mógł uchodzić w oczach cenzora. Wasilewski scyzorykiem zeszkrobał wąsy ze swej karykatury!

Wśród karykatur powodzenie miał Józef Beck. Numer, w którym E. Umański przedstawił Józefa Becka grającego w styczniu 1939 r. na ruletce w „czerwone i czarne”, został rozchwytyany w ciągu dnia. Pamiętam, że w jednym z poprzednich numerów pisma daliśmy zdjęcie fotograficzne Józefa Becka z lokajskim pokłonem w pas, ściskającego na wizycie w Berchtesgaden rękę Hitlera — musieliśmy skutkiem natychmiastowego wyczerpania numeru dobijać go w dodatkowym nakładzie! Mieliśmy dobry kontakt z opinią publiczną i nakłady nasze w r. 1939 dochodziły do 17 tysięcy egzemplarzy. Dla zorientowania, co oznaczał w tym czasie taki nakład pisma opozycyjnego, podam dla porównania liczby największych nakładów tego czasu: endeckie „A.B.C.” było około 12 tysięcy, a 14—15 tysięcy wynosił nakład literackiego tygodnika „Wiadomości Literackie”, czytowanego przez ludzi wszelkich orientacji!

W kampanii wyborczej do rad miejskich Warszawy, Łodzi, Poznania, Krakowa itp., w której opozycja frontu demokratycznego wzięła udział w grudniu 1938 r. po zbankotowaniu wyborów do ciał ustawodawczych (według niezmienionej ordynacji wyborczej), udział „Czarno na Białem” był ograniczony — takie kampanie może rozwijać tylko prasa codzienna, a tygodniki, jak nasz, mogły zajmować zasadniczą postawę — toteż umieściliśmy kilka artykułów, jak A. Lindego *O nowej ustawie samorządowej*, Walerego Grodzickiego, Henryka Szalewicza i innych, oraz wezwania do głosowania na listy frontu, niemniej akcja ta była prowa-

dzona, na ostatnich stronach i nie naruszyła prymatu polityki zagranicznej. Przyjął się nasz slogan: „chcemy, aby samorząd był bez endeckich niebożąt”. Autor został wówczas wybrany do Rady Miejskiej przez robotniczą ludność Czerniakowa, a zwycięskie wybory przyczyniły się do dalszej konsolidacji lewicy i popularności pisma. To, co się działo na płaszczyźnie politycznej, było wielokrotnie ważniejsze: po Monachium najpilniejszą sprawą było przegrupowanie sił przeciwwojennych w Polsce i Europie. Wszystko się bowiem zawaliło. Osobiście uważałem, że nie wyjdziemy ze ślepego zaułka bez zmiany rządu, bez wywrócenia ustroju, którego faworyci nieuleczalnie brną w grzęzawisko. Bezradnie grzebał się w tym grzęzawisku Józef Beck i jego mocodawcy. To stara się z Węgrami zamknąć drogę Hitlerowi tak zwaną „wspólną granicą”, to szuka protekcji do Hitlera u Mussoliniego; nic nie zdoła przeciw twardym faktom, że znowu łamią przyrzeczenia i zajmują Czechy, a też Słowację. Hitler bierze w rękę naszą granicę południową — na co jeszcze prorządowa „Polityka” pisze, że „sytuacja Polski polepszyła się!”

Nalegam na nasz front demokratyczny, by wywołać rewolucyjny odruch. Ale i sytuacja frontu do rewolucji nie dojrzała.

Jedno poszło po myśli Becka: ten londyński zwrot w jego polityce odprężył tak ogromnie napięcie w Polsce, iż szary człowiek w Polsce uwierzył, że wraz ze złą polityką Becka minęło niebezpieczeństwo, opozycja „odstawiła w kozły broń”, a rząd zyskał zaufanie i z opozycją nie potrzebował się liczyć. Co robi „Czarno na Białem”? Nie zgadza się z polityką odprężenia.

W artykułach *Czy rząd zgłosi dymisję, Konsultacja, lecz z narodem, Rządu obrony narodowej* bezapelacyjnie stawialiśmy żądanie zmiany rządu. W tym czasie obie lewicowe partie deklaratywnie przyjęły to stanowisko, ale nie wyciągały z tego żadnych konsekwencji. Na wiecach wspólnych frontu demokratycznego w teatrze na Karowej, a na 1 maja w Teatrze Wielkim jako jeden z mówców domagałem się natychmiastowego ustąpienia Sławoja i Becka. W „Czarno na Białem” już 9 kwietnia 1939 roku pojawia się płomienny wiersz Władysława Broniewskiego *Bagnet na broń*:

Kiedy przyjdą podpalić dom
ten, w którym mieszkasz — Polskę,
kiedy rzuca przed siebie grom,
kiedy runą żelaznym wojskiem
i pod drzwiami staną, i nocą
kolbami w drzwi załomocą,
ty, ze snu podnosząc skroń,
stań u drzwi:
Bagnet na broń!
Trzeba krwi!

Mimo wielkiego nakładu tego numeru (93) odbijano ten wiersz na poligrafach i kolportowano po Polsce. Zaraz potem spotkałem Juliana Tuwima, z którym wiele miłych spędziłem chwil w życiu, a Tuwim był autorem ongi sławnego wiersza o „trzaskaniu karabinem o bruk”. Tuwim z wysokim uznaniem mówił o wierszu Broniewskiego i tłumaczył się ze swojego.

Mimo zmiany postawy Becka — nie rozbrajamy. Z optymizmem się nie godząc, wytykamy ciągle nowe błędy Becka i nicujemy fałsze jego mowy senackiej z 11 maja. Demaskujemy gwarancje angielskie („tymczasowe zapewnienie”, „deklaracja o gotowości zawarcia układu” itp.) wobec miarodajnego oświadczenia Lloyd George’a w angielskim parlamencie, że „nie będziemy mogli posłać do Polski ani jednego batalionu — mówmy szczerze: Francja również nie będzie mogła przełamać linii Zygfyryda...” Żądamy w „Czarno na Białem” otwarcia rokowań polsko-radzieckich. Jesteśmy jedyni i samotni w tym żądaniu, nasi przyjaciele z pism lewicowych nie krytykują odmowy przez Becka udziału w rokowaniach ze Związkiem Rad, do których, ociągając się, przechodzą Anglia i Francja.

Jadę do Paryża na zjazd międzynarodowy zorganizowany pod znakiem ratowania pokoju pod nazwą „Międzynarodowa Konferencja w Obronie Demokracji, Pokoju i Godności Ludzkiej”. Odbył się w „Domu Chemii” na rue de Grenelle. Wśród 600 delegatów świata Polskę reprezentowałem ja jeden. Spotkałem na nim Pietro Nenniego, profesora Langevina, Angella Normana, Marcela Cachina, de Broucke’ą, de Tessana, Zdenka Vierlingera (Czechy), Zilliacusa, nawet pisarzy, jak Heinrich Mann, Cesar Falcone, Julian Benda, Franciszek Jourdain, Stefan Zweig, muzyk Artur Honneger i inni. Było to 13 maja. Zostałem zaproszony do prezydium zjazdu i zabrałem głos na przepelnionej sali, gdyż Polska była w centrum zainteresowań. Moje przemówienie znalazło się w opublikowanym francuskim sprawozdaniu ze zjazdu i w numerze 100 „Czarno na Białem” pod tytułem *Polska nie powie: A*. Wziąłem go z opowiadania Diderota o chłopcu, który płakał na progu, bo mu matka kazała powiedzieć A. „Cóż w tym tak okropnego — zapytał filozof. Nic, ale jak powiem A, to mi mama każe powiedzieć kolejno wszystkie litery alfabetu!” (Tym A w tym wypadku był Gdańsk). I postawiłem jasno pytanie. Ponieważ po deklaracjach Chamberlaina nastąpił gwałt albański, a także odmowa udzielenia gwarancji angielskich Danii, ponieważ i Czechom po Monachium udzielono „gwarancji”, a jednak nikt się nie ruszył, gdy je Hitler zajął, pytam konkretnie: Czy flota JKMości króla Anglii przetoruje sobie drogę przez cieśninę duńską na Bałtyk? Czy armia francuska przełamie opór linii Zygfyryda?

Trzy miesiące później okazało się, jak to pytanie było w porę — ani flota angielska nie przyszła nas bronić, ani Francuzi nie przeszli przez zasieki niemieckie...

Stanowczo prasa lewicowa za nami nie nadążała. Podniosło się tklive larum, gdy na łamach naszego pisma Antoni Wieczorkiewicz czynił Niemców odpowiedzialnymi za katastrofę przyszłej wojny: zaczęło się kwilenie, że są dobrzy Niemcy, że około 10 milionów przecież głosowało przeciw Hitlerowi. Oczywiście i ci maszerowali potem we wrześniu na Polskę.

Było gorąco. Z Paryża codziennie w nocy o 23-ej z budynku giełdy rozmawiałem telefonicznie z mieszkaniem Aleksandra Mankiewicza (z administratora w czasie mej nieobecności stał się faktycznym redaktorem) informując go o sytuacji. Ostatnim czynem „Czarno na Białem”, który chcę podać, był rewelacyjny szkic przewidzianego uderzenia na Polskę wojsk Rzeszy w 7 kolumnach, co się także sprawdziło. Było to zamieszczone w nr 109 pod artykułem *Ewolucje niemieckiej myśli wojennej*, podanym jako mój reportaż z rozmowy z generałem niemieckim w Belgii. Po tej rewelacji zostałem wezwany do sztabu generalnego, gdzie szef oddziału II płk dypl. Marian Józef Smoleński wmawiał we mnie, że Hitler bluffuje, a ja niepokoję opinię publiczną. Zmienił zdanie 6 tygodni później w dniu ataku Hitlera na Polskę.

Chciałbym jeszcze, po tej relacji spełnionej służby, podać, że pismo nasze od dłuższego czasu było cytowane za granicą, a w grudniu 1938 r. i styczniu 1939 redaktor Aleksander Mankiewicz wezwany do Pragi omawiał już organizację prasowego przedsiębiorstwa do wydawania międzynarodowej mutacji „Czarno na Białem” w wielu językach, jako czołowego organu walki z totalistami. Wypadki jednak pomknęły zbyt szybko...

Gdy dzisiaj rzucam okiem wstecz na przebytą drogę, próbuję dojść tej tajemnicy powodzenia pisma założonego w sposób przeczący wszelkim zasadom już w prasie zakotwiczonym, bez żadnego oparcia o finanse, bez żadnego oparcia partyjnego, bez żadnej subwencji państwowej, a nawet przeciw siłom tak potężnym, jak środki totalne aparatu państwowego. Czemu to pismo mogło na lewicy, w której skład wchodziły wielkie nurty polityczne demokracji, zachować własne, niezależne oblicze, zajmować własne stanowisko, stawiać własne postulaty?

Jak to się stało, że było czytane przez robotnika i inteligenta, na wsi i w mieście. Na sierrach Hiszpanii, na Nordzie Francji i nawet w więzieniach, dokąd przenikało razem z wałówką?

Że miało taki oddźwięk za granicą?

Że stało się szkołą dla młodych talentów, bazą, w której wyszły paryski „Świat i Polska”, potem paryska seria „Czarno na Białem” na emigracji zachodniej pod moją redakcją i „Nowe Drogi” podczas okupacji pod redakcją Nieniewskiej i A. Czyżewskiego?

Zapewne wprowadzony przez nas „nowy styl” publicystyki odegrał swą rolę. Określiłem to kiedyś w dość trywialnej formie na jednej z „odpraw” redakcyjnych:

1) antykobylizm — wykluczenie wielkich artykułów, kobył, które miały pozować na powagę w ówczesnej prasie.

2) antydrętizm — wykluczenie patosu i demagogicznego banału.

3) mowa potoczna — artykuły nie mają być w sztywnych kołnierzykach „Kuriera Warszawskiego” czy „Gazety Polskiej”,

4) rytm albo raczej tempo, tempo, tempo!

Tytuły układał przeważnie sam naczelny redaktor i musiały być dynamiczne.

Ale nie to było najważniejsze.

W Saharze pod suchymi, lotnymi piaskami ergów płyną podwodne uedy. Są to rzeki, co setkami kilometrów nie wychodzą na powierzchnię. Ale jeżeli przebić grubą, wyschlą, martwą skorupę, z ziemi tryśnie woda i wkoło rozpleni się bujna roślinność — powstanie oaza, w której palmy wyciągną się ku niebu.

„Czarno na Białem” przebiło skorupę polskiej Sahary, dotarło do żywego nurtu i w tym jest jego historyczna tajemnica.